

# Zajewski, Władysław

---

## "Szanse powstania listopadowego", Jerzy Łojek, Warszawa 1966 : [recenzja]

---

Przegląd Historyczny 58/3, 554-559

---

1967

Artykuł umieszczony jest w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych, tworzonej przez Muzeum Historii Polski w Warszawie w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego.

Artykuł został opracowany do udostępnienia w Internecie dzięki wsparciu Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego w ramach dofinansowania działalności upowszechniającej naukę.

ciwnie, pozostawia całe dziedziny jego działalności nietknięte lub ledwie wspomniane), ale dlatego, że oparta jest na gruntownej znajomości wyeksponowanej w niej problematyki, na jej oryginalnej i wnikliwej analizie.

Jerzy Michalski

Jerzy Łojek, *Szansę powstania listopadowego*, Warszawa 1966, s. 184.

Z dziwnym uczuciem czytałem szczupłą książeczkę J. Łojka o szansach powstania listopadowego. Czymże właściwie jest ta książeczka adresowana do szerokiego kręgu czytelników? Traktatem naukowym zaopatrzonym w 118 przypisów? Raczej nie, jak pisze autor, celem jego było „właściwe wyważenie ocen i zburzenie tradycyjnych mitów po dziś dzień ciężących szkodliwie nawet na świadomości historyków specjalistów” (s. 5). Przez zrewidowanie dotychczasowych ocen i rozważenie alternatyw, jakie rysowały się przed powstaniem listopadowym, autor pragnie przełamać tradycyjny krąg rozważań polskiej historiografii nad powstaniem listopadowym (s. 66). Książka co prawda nie tłumaczy czytelnikowi, na czym polegał ów krąg tradycyjnych rozważań i mimo ciekawej zapowiedzi autora po zapoznaniu się z jej treścią zrezygnowałem z napisania stereotypowej recenzji naukowej. Autor bowiem zapuszcza się w takie rozważania i przewidywania, które wymykają się jakiegokolwiek kontroli naukowej. Nie można jednak tej książeczki zbyć milczeniem. Skoro się ukazała i znalazła się w ręku czytelników, to tenże czytelnik ma prawo wiedzieć, co za dzieło ma w ręku i jaka jest jego wartość naukowa. Czy to, co prezentuje Łojek, jest rzeczywiście ostatnim słowem nauki?

Mamy do czynienia z sugestywnie napisanym pamfletem politycznym z przypisami, który na dobrą sprawę powinien był się ukazać przed 135 laty i wtedy wzbudziłby niemałą wrzawę. Dziś nie może on wzbudzić szczególnej sensacji. Książeczka ta będzie najciekawsza dla badacza losów społecznych publicystyki politycznej Maurycego Mochnackiego. Publikacja Łojka zrodziła się — w sensie duchowym — w klimacie pism Mochnackiego i oscyluje właściwie wokół tego samego kręgu problemów: patriotyczne powstanie mające znakomite perspektywy zgubione przez arcynieudolnych, karygodnych wodzów. Z tym, że pewne oceny Mochnackiego zostały zaostrzone i podbudowane autorytetami kompetentnych historyków. Tam, gdzie się urywa dzieło Mochnackiego, tam też w zasadzie wyczerpuje się inwencja Łojka, choć formalnie praca jego jest doprowadzona do końca powstania. Nie mogę odmówić pamfletowi Łojka najlepszej intencji, ba — żarliwości powstańczej — pochlebne to bardzo, ale dla pamflecisty. Dziwne to są jednak walory u historyka, piszącego 136 lat po wypadkach. Namętne, pełne żaru i pasji, oceny i opinie Mochnackiego, uczestnika sprzysiężenia i wszystkich główniejszych wypadków 1831 r. stanowią o nieprzemijającej wartości jego „Powstania narodu polskiego w roku 1830 i 1831”. Jeżeli pamflet polityczny może być arcydziełem, to jest nim niewątpliwie książka Mochnackiego, w której wyraził, jak pisano na emigracji, „trójgeniusz Rembrandta, Rubensa i Van Dycka”. Będzie jednak ona wzorem zawodnym i ryzykownym dla historyka mającego ambicję pisania w sposób bezstronny o wypadkach doby Królestwa Kongresowego i powstania listopadowego. Z tej zmienności i stronniczości Mochnackiego sztychł na emigracji nie tylko jego przyjaciel Ludwik Nabelak, lecz także Juliusz Słowacki w „Beniowski”. Z braku miejsca ograniczę się do jednego przykładu: oto Mochnacki opowiada, jak to chcąc ratować bałamucone przez Lubeckiego powstanie podjął rozpaczliwą próbę rozprawienia się z tym wodzem kontrrewolucji i na czele szkoły podchorążych pomaszzerował na siedzibę księcia ministra skarbu, aby go rozstrzelać. A oto co pisze o tym Lelewel: „O tym zaś, że prowadził szkołę podchorążych w celu

rozstrzelania Lubeckiego i o innych różnych rzeczach, które opisuje, dopiero po raz pierwszy dowiedziałem się od niego w Paryżu”<sup>1</sup>. A przecież w grudniu i styczniu Lelewel bardzo często spotykał się z Mochnackim. O każdej niemal wypowiedzi Mochnackiego pisały w takim lub innym tonie gazety. Tymczasem okazuje się, że byli ci podchorążowie i nikt o tym nie wiedział. Żaden historyk tej wersji Mochnackiego, bezkrytycznie przyjętej przez Łojka (s. 25), nie aprobeuje, nie ma bowiem źródła ją potwierdzających.

Powstanie rzeczywiste i powstanie opowiedziane przez Mochnackiego, to są dwa różne powstania. To prawda, że Mochnackim się posługujemy i wszyscy, którzy będą kiedykolwiek o powstaniu pisali, będą czytali z wypiekami na twarzy jego znakomicie napisany traktat i przez długie tygodnie będą zasugerowani jego wizją. To sprawa talentu Maurycego. Ale dziełem Mochnackiego należy posługiwać się ostrożnie i tam, gdzie można, trzeba i należy konfrontować je z innymi źródłami. Niestety, o tym Łojek zapomniał. Na dobrą sprawę książeczkę Łojka należałoby weryfikować właśnie w ten sposób, niemal strona po stronie. Musiałbym jednak napisać rozprawkę analogicznych rozmiarów. Z konieczności ograniczę się do kilku podstawowych problemów.

Język i terminologia stosowana w publikacji Łojka — oto próbki: Na określenie ludzi z ugrupowań konserwatywnych Łojek używa następujących określeń: „zdrajcy”, „elementy antynarodowe, reakcyjne, ugodowe, kapitulankie” (s. 21), „szuler polityczny” (o Chłopickim, s. 35), „bezcelność generała” etc., etc. Myślę, że nawet dobry publicysta historyczny wykazuje większą troskę o język i poprawny dobór określeń, jeżeli nie chce operować ograny schematem czarno-białym.

Łojek rozpoczyna swoje wywody od potępienia mitu solidarności narodowej; oślepiął on bowiem i prowadził naród na manowce. Nie mam o to pretensji, że Łojek nie wytłumaczył, skąd się wzięło to uwielbienie zwartości narodowej, że ludzie ci w ogromnej większości, mniejsza o to w tej chwili czy słusznie czy niesłusznie, przypisywali upadek insurekcji kościuszkowskiej brakowi jedności narodowej. Pisały o tym prawie wszystkie gazety przypominając tragiczny finał powstania 1794 r. Chcę zwrócić uwagę na inny problem. Już Leśnodorski pisząc o jakobinach polskich w insurekcji kościuszkowskiej trafnie zauważył, że hasło jedności narodowej samo w sobie nie jest czymś złym, co więcej jest czymś naturalnym w trakcie powstania, walki zbrojnej<sup>2</sup>. Rzeczą istotną jest, kto realizuje tę jedność, jakie siły społeczne i polityczne są motorem przewodnim w powstaniu zbrojnym. Łojek konstruuje nowy mit: mit wyjątkowo szerokiej gotowości do walki zbrojnej pomniejszając lub nie dostrzegając faktu historycznego, że nie wszyscy, poza generalicją i kierowniczą administracją (bo o tym Łojek pisze), tak bardzo palili się do walki. Spory odłam szlachty na prowincji, drobnych urzędników i mieszczan w miastach oraz kadry oficerskiej, choć popierał opozycję sejmową i protestował przeciw odstępstwom od konstytucji, odległy był od idei zrywania wszystkich więzów z carską Rosją i stawiania całej egzystencji Królestwa Polskiego na ostrzu szabli. Zatem nie potępienie rzeczywistych i urojonych przeciwników powstania lecz wyjaśnienie przyczyn istniejących w społeczeństwie różnic powinno być motywem przewodnim pracy historyka *sine ira et studio*; większe to przynosi owoce i pożytek niż toga prokuratora. Od samego początku powstania, pisze znany konserwatysta Paweł Popiel, opinia Królestwa Polskiego była podzielona. „O powstaniu 1830 r. przyszło mi nieraz mówić, uważałem je, jak i teraz uważam, za największy błąd, jaki kiedykolwiek popełniliśmy, a ci, co podpalali na znak ruchu szopę na Solcu, nie widzieli, że podpalali równocześnie byt Królestwa i wojska,

<sup>1</sup> J. Lelewel, *Użycie mych notat przez Maurycego Mochnackiego*, *Dziela* t. VIII, Warszawa 1961, s. 196.

<sup>2</sup> B. Leśnodorski, *Polscy jakobini*, Warszawa 1960, s. 110—111.

uniwersytetów warszawskiego i wileńskiego, szkół krzemienieckich i bazylikańskich, statut litewski i sądownictwo w zabranych krajach”<sup>3</sup>. Tenże Popiel pisze dalej o wybuchu powstania: „Stary, zdzieciniały expodstoli Sołtyk, próżny syn jego Roman mogli potakiwać, kiedy J. B. Ostrowski robił im zwierzenia, ale oprócz Lelewela, żaden poważny człowiek nie był czynny w spisku i odpowiedzialność ciąży na kilkunastu młodych ludziach, którzy heroizmem, odwagą, błędem zapалу okupili”<sup>4</sup>. Celowo przytoczyłem tę wypowiedź, nie dlatego oczywiście, bym się zgodził z Popielem w jego poglądach na genezę powstania. Łojek ma rację, gdy pisze, że powstanie było koniecznością. Przytoczyłem ją dlatego, że jej uczestnik ze łzami w oczach przyglądał się procesowi Łukasińskiego, po którego stronie był całą swą młodzieńczą duszą i choć powstaniu był przeciwny, bił się pod Grochowem i nigdy zdrajcą nie był. Takich, co nie aprobowali powstania lecz spełniali swój obowiązek było dużo i nie możemy ich zakwalifikować jako zdrajców. Wystarczy zapoznać się z treścią broszur politycznych z miesiąca grudnia 1830 i stycznia 1831, aby przekonać się, że zdania były bardzo podzielone, a poczynania Chłopiokiego miały początkowo poważne oparcie<sup>5</sup> i że z upływem czasu dokonywała się ewolucja i radykalizacja tych nastrojów na korzyść zwolenników walki zbrojnej.

Łojek wykazuje nawet większą niż Mochnacki pewnością, że mogliśmy w 1831 r. pobić carską Rosję. Królestwo Polskie liczyło zaledwie 8 województw i 4 mln 200 tys. ludności; potencjał demograficzny Rosji był 10-krotnie większy (ok. 52 mln). Carska Rosja dysponowała ogromnym obszarem, rozległymi kontaktami dyplomatycznymi o bogatych tradycjach i rozległym przemysłem zbrojeniowym. Wyrazem tych sił była potężna armia lądowa. Tak te siły charakteryzuje wybitny znawca wojny 1831 r. Wacław Tokarz: „Całość sił rozporządzalnych Rosji przedstawiała się bardzo groźnie w postaci 292 batalionów piechoty i saperów, 468 szwadronów kawalerii, 24 brygad artylerii pieszej i 19 artylerii konnej z 1056 działami polowymi ... czyli ogółem 400 000 ludzi z 1056 działami”<sup>6</sup>. Zwracam uwagę na fakt, że te osiem województw miało na zapleczu złowrogą potęgę Prus i Austrii i nie miało dostępu do morza. Łojek jednak daleko większą uwagę przypisuje zdaniu Tokarza, że Rosja nie była w stanie szybko skoncentrować tych ogromnych sił, gdyż mogła wystawić w pierwszym rzucie 130 tys. żołnierzy. Ale przecież Tokarz pisze wyraźnie, co pomija milczeniem Łojek: „Były to w każdym razie siły bardzo groźne w stosunku do naszych”<sup>7</sup>. Sądzę, że Łojek pomniejsza wartość armii carskiej. Czytelnik może się zdziwić jak to się stało, że ta niedołężna, pod piórem Łojka, armia zniosła i wytrzymała brzemień najazdu napoleońskiego i zdobyła Paryż w 1814 r. Armia ta miała bogate doświadczenie w wojnie perskiej i tureckiej 1828/29

<sup>3</sup> P. Popiel, *Pisma t. II*, Kraków 1893, s. 73—74.

<sup>4</sup> P. Popiel, *O powstaniu roku 1830 z powodu dzieła p. Barzykowskiego*, tamże, s. 89.

<sup>5</sup> Por. *Rozmowa między dwoma obywatelami o powodach i skutkach dzisiejszej Rewolucji, w oswobodzonej Warszawie, w grudniu 1830*, s. 65. Ta rozmowa toczy się 8 grudnia. Autor twierdzi: „Tak tedy rewolucja dzisiejsza nie jest ani wypowiedzeniem posłuszeństwa monarsze, którego czcimy i kochamy, ani wypowiedzeniem wojny Rosji z którą od lat 15 łącznie pod jednym niebem i berłem żyjąc tyle związków i ścisłych zawarliśmy stosunków” (s. 7). Por. podobne poglądy wraz z odrzuceniem poglądu o potrzebie zbrojnego wkroczenia na Litwę i Wołyń w: *Co jest lepszego, czy pośpiech czy zwłoka w działaniach naszej rewolucji?*, Warszawa 1830, gdzie na s. 3 autor twierdzi, że ewentualne uwięzienie w. ks. Konstantego spowodowałoby interwencję zbrojną Prus i Austrii. Zaufanie Chłopiokiemu w: Ludwik Mochnacki, *Czy może być kontrrewolucja w Warszawie?*, Warszawa 1830, s. 8. W rękopiśmiennej miniaturkowej broszurce pisanej po zwycięskiej polskiej ofensywie: B.Z.S., *Rozmowa między synem i ojcem tycząca się wszczętej w Warszawie 29/30 listopada 1830 rewolucji prowadzona w pierwszych dniach kwietnia 1831 r.*, AGAD, Archiwum Branickich z Suchoj, nr 429/454, k. 259 ojciec mówi do syna rewolucjonisty: „Kiedyż to był szczęśliwszy lud polski jak pod błogim panowaniem dwóch wielkich cesarzy i królów Aleksandra i Mikołaja? Oto nigdy”. Syn po rozmożeniu odstępkuje od rewolucjonistów.

<sup>6</sup> W. Tokarz, *Wojna polsko-rosyjska 1830 i 1831*, Warszawa 1930, s. 38—39.

<sup>7</sup> Tamże, s. 50.

i pod tym względem przewyższała armię polską, która w okresie 1815—1830 nie miała doświadczeń bojowych na polu walki. Armia carska miała też znaczną przewagę w artylerii<sup>8</sup>.

Według Łojka przewaga liczbowa Rosji nie mogła się uwidocznic w sposób oczywisty, bowiem z uwagi na brak transportu nie mogła ona natychmiastowo użyć wszystkich sił. Zdaniem Łojka armia polska w 1830 r. licząca ok. 30 tys. żołnierzy miała „olbrzymie zaplecze kadrowe i mobilizacyjne” (s. 42) i gdyby w odpowiednim czasie Polacy pomaszerowali na Litwę oraz pozostałe prowincje zabrane i przesunęli teatr wojny nad Niemen, Dźwinę i Dniepr, to kto wie (s. 41)... Łojek dowodzi, że na ogół byliśmy liczbowo równorzędnym partnerem Rosji w tej wojnie. Dalszym argumentem Łojka na rzecz straconych możliwości polskich jest aprioryczne twierdzenie, że ani Wiedeń, ani Berlin nie interweniowałyby w tej wojnie, że jakakolwiek próba Mikołaja pozyskania zbrojnego poparcia Prus „spotkałaby się z kategorię odmową” (s. 31, 113—114, 116). Kalkulacje Łojka w większości wypadków są papierowe. Mieliśmy od początku bardzo poważne kłopoty z bronią. Brakowało przede wszystkim artylerii i amunicji. Gdy zaczęto tworzyć z ogromnym opóźnieniem bataliony rezerwowe brakowało instruktorów, szczególnie podoficerów. Uzupełnianie braków było dla strony polskiej problemem ponad siły, gdyż Prusy i Austria zamknęły granice, choć kordon austriacki początkowo był dość liberalny. Dlaczego Chłopicki nie podjął ruchów zaczepnych i nie zaatakował Litwy? Chrzczanowski przedstawiając swe plany zaczepne Chłopiickiemu, jak pisze Tokarz, wcale nie był tak pewny ich powodzenia, chociaż zostały one odrzucone przez Chłopiickiego z przyczyn czysto politycznych. Czy mieliśmy szanse na Litwie? Łojek jest bezwzględnie przekonany, że korpus litewski przeszedłby na stronę Polaków. A przecież właśnie z Tokarza wiemy, że w noc listopadową do walczących warszawiaków strzelała gwardia wołyńska złożona w lwiej mierze także z... Polaków. Sprawy, które wydają się Łojkowi arcyproste, wcale nie były tak oczywiste. Warto przytoczyć sąd gen. Henryka Dembińskiego, jak wiadomo fanatycznego zwolennika przeniesienia działań wojennych na Litwę, w sprawie powściągliwości Chłopiickiego. Pisze Dembiński: „Kto bowiem ma 27 500 wojska, które nigdy wojny nie robiło i kraj, który czeka na jego skinienie, aby pod zastłoną tego wojska te siły podwoić i potroić podług potrzeby, a kto by tę alternatywę wzmocnienia się porzucał i narażać chciał owe jedyne siły z 27 tysięcy składające się na marsze jesienne, błotne i śniegi, w których z trudnością brnęłaby artyleria, ten nie znałby wojny i jej praktyki. Wiem, iż mówią, że korpus Rosena byłby na naszą stronę przeszedł lub że był łatwy do pobicia, lecz na to odpowiem, że przejściu korpusu ani jego części nie wierzę i mam powód nie wierzyć z tego, co mi mówili oficerowie z tego korpusu, którzy do nas przeszli..., że własni żołnierze do nich strzelali, skoro im oświadczyli, że ich chcą do Polaków prowadzić... nadto łatwo było przewidzieć, że Rosen cofałby się był dopóty, dopóki by wsparcia w innych wojskach rosyjskich nie spotkał. Cóż więc z tego wynikało? Oto, że wojsko nasze zmęczone nadwyreżyło swe siły [...], bo nie trzeba zapomnieć położenia topograficznego kraju, do którego podług opinii miał teatr wojny dyktator przenieść [...], gdyby się więc dyktator zapędził był na Litwę, choćby tylko do Słonima, narażał swe komunikacje z krajem, tak jak wszystkie formacje i rezsursa krajowe na działania korpusów rosyjskich od południowych części państwa przybywających, a które w pełnym pochodzie ku Francji ściągały się i już Krzemieniec zajmowały, gdy wybuchła nasza rewolucja. Nie mógł więc i nie powinien był działać zaczepnie generał Chłopiicki, gdyż choćby nie co innego, to narażał się na odwrót, a odwrót po ruchu zaczepnym w początkach rewolucji małej garstki Polaków walczących

<sup>8</sup> Tamże, s. 47.

z całymi siłami Rosji byłby cios śmiertelny zadał naszej sprawie"<sup>9</sup>. Tłumaczy dalej Dembiński, iż po odwołaniu z Litwy, bitwa grochowska mogłaby się zakończyć całkowitą katastrofą dla Polaków. Oczywiście nikt, łącznie z Dembińskim, nie rozgrzeszał Chłopickiego z jego fatalnych posunięć politycznych i popełnionych błędów wojskowych, należy jednak odpowiednio formułować zarzuty. Tenże kapitulant Chłopicki gotów był skapitulować jedynie po zagwarantowaniu przez Mikołaja konstytucji Królestwa Polskiego i po wycofaniu wszystkich garnizonów rosyjskich z obszaru Królestwa. To było jednak troszeczkę więcej niż stan sprzed 29 listopada 1830.

Mam pewne wątpliwości co do naszych rzekomych olbrzymich rezerw ludzkich, bo przecież województwa prawobrzeżne zostały dość szybko zagarnięte, stąd też płynęły jeremiady Skrzyneckiego, że my się samymi zwycięskimi bojami wykończymy. Armia polska pod Ostrołęką, po ogromnych stratach pod Grochowem, gdzie wyginęli najbardziej doświadczeni i wyborowi żołnierze, nie była już tą samą armią, tak jak w bitwie warszawskiej 6 i 7 września nie reprezentowała tej samej wartości, co pod Ostrołęką. Doświadczony żołnierz wykruszał się, a rekrutom daleko było do tej samej sprawności, hartu i doświadczenia.

Skąd Łojek wie, że Prusy by nie interweniowały, skąd ma tę pewność, tego naprawdę nie wiem. Przecież wystarczy przypomnieć sobie insurekcję Kościuszkowską. Prusy były zapamiętałym, śmiertelnym wrogiem naszego powstania. Bernstorff wyraźnie oświadczył wysłannikowi Ludwika Filipa, że Prusy w tej wojnie polsko-rosyjskiej nie są i nie będą neutralne, są tylko bierne (*passive*). Odbudowanie Polski przekreśliłoby cały porządek i spokój w Europie, bowiem Polacy za rządzącej prędzej czy później Litwy, Gdańska, Torunia i dlatego Prusy widzą tylko jedno rozwiązanie: poddanie się Polaków Mikołajowi. Inne rozwiązanie grozi całości państwa pruskiego, co najcelniej sformułował w 1831 r. Clausewitz: „Biada nam, gdyby Rosja utraciła panowanie nad Polską i polskie prowincje Litwę, Wołyń i Podole musiały ustąpić Polakom. Polacy i Francuzi podaliby sobie ręce nad Łabą”<sup>10</sup>. Z rozprawy Kocójja najwyraźniej wynika, że Prusy bardzo skutecznie pomagały armii carskiej przez cały okres powstania i jeżeli nie interweniowały same bezpośrednio, to tylko dlatego, że Mikołaj z uwagi na prestiż Rosji o to nie poprosił<sup>11</sup>. Łojek z artykułu Kocójja wydobyl fakt, że kilku Prusaków było usposobionych do nas życzliwie i uogólnia ten pogląd na oficjalną politykę Prus. To chyba nieporozumienie.

Równie niefortunne jest to, co autor ma do powiedzenia o Chłopickim i Skrzyneckim. Chłopicki jest dla niego mocno podejrzanym „szulerem politycznym” (s. 35) niechybnie zaprzędanym Mikołajowi, zaś Skrzynecki to tchórz (s. 95) paranoik lub, co zdaniem Łojki bardziej prawdopodobne, miał „porozumienie z nieprzyjacielem” (s. 97). Zresztą zdaniem autora „w osobach Chłopickiego i Skrzyneckiego powstanie miało na czele swych sił zbrojnych dwóch rosyjskich Konradów Wallenrodów” (s. 39, podkreślenie moje). O ks. Czartoryskim, Chłopickim i Skrzyneckim autor pisze bez osłonek jako o zdrajcach, którzy przy nieco innym przebiegu nocy 29 listopada „znalęzliby się najprawdopodobniej w Petersburgu” (s. 21). Rozumiem, że Słowacki mógł w „Beniowskim” mianować Konradem Wallenrodem Krukowieckiego i Gurowskiego, ale był poetą i pisał zaledwie dziesięć lat po upadku powstania, gdy emigracja wrzała od namiętych i gwałtownych polemik. Ale gdy tymże językiem zaczyna pisać historyk, to można i należy zapytać gdzie jest poczucie odpowiedzialności za drukowane słowo? Niech się więc

<sup>9</sup> H. Dembiński, *Rzut oka na ostatnie wypadki rewolucji polskiej*, Paryż 1837, s. 12—13.

<sup>10</sup> H. Kocój, *Prusy wobec powstania listopadowego*, maszynopis pracy odtorskiej, archiwum WSP w Krakowie.

<sup>11</sup> H. Kocój, *Władze pruskie oraz opinia publiczna Prus i Niemiec wobec powstania listopadowego*, „Roczniki Historyczne” 1964, s. 127.

autor nie zdziwi, że ja tę jego powieść o „rosyjskich Konradach Wallenrodach” stojących na czele powstania „między bajki włożyć”. Jeżeli Lelewel o dziele Mochackiego lojalnie pisał, że powinno być we wszystkich językach znane i czytane, to w tym wypadku można tylko Łojkowi życzyć, aby jego książeczka została jak najszybciej zapomniana. Przypomina mi się w tym miejscu mądra maksyma: *non multa sed multum* — nie dużo lecz gruntownie.

Wróćmy na chwilę do generalnego problemu postawionego przez Łojka: czy powstanie listopadowe miało szanse? Historyk uchyla się w tym miejscu od odpowiedzi, gdyż musiałby snuć rozważania o wypadkach, które nigdy nie miały miejsca. Publicysta mógłby nieco odważniej napisać, a historyk bardzo ostrożnie sprezywać, że minimalne szanse były po zwycięskiej naszej wiosennej ofensywie, gdyby Skrzynecki działał ofensywnie, jak mu to doradzał ks. Adam Czartoryski w korespondencji i osobistych rozmowach, choć nigdy nie dość energicznie<sup>12</sup>. Sprawa polska mogła się znaleźć na londyńskiej konferencji pięciu mocarstw, podobnie jak sprawa Belgii<sup>13</sup>. To był jedyny promyk nadziei w tej, na ogół ponurej dla Polski konstelacji międzynarodowej... Ale są to już tematy, jak pisze gen. Dembiński, należące zwykle do poezji.

Władysław Zajewski

W. Kawierin, *Baron Brambieus. Istorija Osipa Sienkowskogo, żurnalista, riedaktora „Biblioteki dla cztienija”*, Moskwa 1966, s. 240.

Louis Pedrotti, *Józef-Julian Sękowski. The Genesis of a Literary Alien*, University of California Press, Berkeley and Los Angeles 1965, s. 224.

Prawie równocześnie na dwóch półkulach — w Moskwie i w Berkeley — ukazały się dwie monografie poświęcone redaktorowi „Biblioteki dla cztienija”, Józefowi Sękowskiemu, jednemu z najbardziej znanych i czytanych ongiś w Rosji pisarzy, utalentowanemu dziennikarzowi-felietoniście ubiegłego stulecia. Sława jego i popularność w latach trzydziestych XIX wieku równe są niepamięci, w jaką pograżyło go następne stulecie. Nie tylko niepamięci zresztą. Nazwisko Józefa-Juliana Sękowskiego przywykło się w literaturze historycznej stawiać w jednym rzędzie z pozostającymi na usługach mikołajowskiej policji redaktorami „Siewiernoj Pczely” — Grieczem i Bułharynem. Zarówno Wieniamin Kawierin jak i Louis Pedrotti z twierdzeniem tym polemizują, podejmują obaj próbę rehabilitacji Sękowskiego w oczach współczesnych, ukazania we właściwych proporcjach jego działalności, obiektywnej oceny jego zasług dla rozwoju czasopiśmiennictwa i literatury w Rosji.

Baron Brambeus (pseudonim literacki Sękowskiego) jest już od lat czterdziestu bohaterem poszukiwań twórczych prozaika radzieckiego Wieniamina Kawierina. W roku 1926 w tomie „Russkaja Proza” wydanym pod redakcją B. Ejchenbauma i J. Tynianowa znajdujemy jego esej o Sękowskim<sup>1</sup>. W trzy lata później wychodzi pierwsze wydanie monografii poświęconej życiu i działalności barona Brambeusa. Koncepcje wysunięte przez Kawierina nie znalazły następnie żadnego odzwierciedlenia w literaturze historycznej. Być może wpłynęło na to potępienie<sup>2</sup> tzw. „rosyjskiej szkoły formalnej”, z którą Kawierin był podówczas związany. Pracę Kawierina zaatakował swego czasu bardzo ostro I. Ippolit w artykule „Pisatel i żurnalist”<sup>2</sup>, dostrzegając w niej jedynie przejaw „szkolnej sofistyki” formalistów.

<sup>12</sup> M. Handelsman, *Adam Czartoryski t. I*, Warszawa 1948, s. 178 nn.; M. Kukiel, *Dzieje Polski porozbiorowe 1795—1921*, wyd. II, London 1963, s. 244.

<sup>13</sup> W. Zajewski, „Polski margines” londyńskiej konferencji pięciu mocarstw w 1830—1831, PH LIII, 1962, z. 3, s. 547—567.

<sup>1</sup> W. Zilber, *Baron Brambieus*, „Russkaja Proza”, Leningrad 1926, s. 159—191.

<sup>2</sup> „Kniga i Riewolucja”, Moskwa 1930, nr 1, s. 19—21.